Nad urwiskiem

Na płaskiej wyniosłości w znacznej odległości od położonego w dołach miasteczka znajdował się sadek owocowy na klinku ziemi, zawartym pomiędzy zbiegającemi się drogami i zygzakowatą linją stromego urwiska. Urwisko to niegdyś przedstawiało ledwie łagodny spadek porośnięty krzakami i bujną trawą, ale, skoro wykryto w nim ~~dobrą~~ tłustą glinę i kamień użyteczny, opustoszone zostało zupełnie. Nagie zbocze pełne dziur, jam, jaskiń smutnych, jakby czeluście wyłupionych oczu, przedstawiało obecnie sypkie rumowisko okruchów wapniaka, co na kształt ostrych strumyków zdawały się ściekać do złomów głazów, spoczywających na dnie. Z tej strony ziemia obsuwała się powoli, tak że w końcu wypełzły ~~na wierzch~~ na wierzch pokurczone sploty korzeni stojących na skraju jabłoni, a potężny krzyż z blaszanym Chrystusem zardzewiałym i czarnym znalazł się na samym brzegu przepaści i pochylony rozciągał nad nią opiekuńcze ramiona.

Grunt ten należał do gminy, to też każdy śpieszył z niego skorzystać i z tego powodu owoce przedwcześnie zrywane nie mogły dojrzeć nigdy.

W tym roku po raz pierwszy wynajął je głupi Lejbie za kilka rubli.
Lejba był niegdyś sadownikiem na większą skalę, ale potem zbiedniał do tego stopnia że od lat wielu nie tylko nie robił interesów, ale przestał nawet marzyć o geszeftach, żyjąc jak mucha okruszynami z ubogich stołów lichej mieściny.

Jedyny chałat noszony w dnie powszednie i szabas, przeszedł już całą gamę kolorów i stał się bezbarwnym załatanym łachmanem, ~~dobrze~~ dobrze dopasowanym do ~~[illegible]~~ ziemistej cery, żółtosiwego zarostu, garbatych pleców i spłowiałych oczu nędzarza, który sprawiał wrażenie zgrzybiałego starca, jakkolwiek liczył niedawno lat 50. Stałe systematyczne morzenie się głodem wycieńczyło go tak dalece, że Lejba nie czuł się zdolnym nietylko już do pracy, ale nawet do jakichkolwiek żywszych pożądań. Zgasł mu instynktowny smak pożywienia, dość jednak było mu przełknąć cokolwiek: kawał rzepy, strączek grochu lub główkę cebuli, by zapaść na resztę dnia w apatyczne bezmyślne odrętwienie, z którego nie było go w stanie wydźwignąć najponętniejsza obietnica zarobku. ~~Z tej okoliczności~~ Z tego powodu Lejba zyskał opinię niespełna rozumu "trochę głupiego żydka". I w istocie z wycieńczeniem sił fizycznych, ~~[illegible]~~ wrodzonej część inteligencji zanikła, a ~~pozostałe~~ szczątki reszta pozostawała w uśpieniu bezwładnym.

Niedołęstwo Lejby, oczywiste już dla niego samego, było ciągłym wielkim zmartwieniem żony ~~jego~~ Ryfki, z którą za czasów względnej pomyślności zdążył zaopatrzyć w parkę dzieci. Stopniowo jednak i ona oswoiła się z stanem męża, i zastąpiwszy go na placu losu — wściekłym bieganiem po całej okolicy, błyskawicznie szybkimi obrotami kilkorublowego kapitału, wyławiała tę ścisłą wyrachowaną dozę strawy i ciepła, która nie daje wprawdzie żyć po ludzku, ale wystarcza, by nie umrzeć.

Dzieci jednak z latami rosły, zwiększała się ilość żołądków, a kapitał zakładowy, jedyne źródło utrzymania stał ciągle w jednej mierze. By zwiększyć dochody Ryfka musiała ~~[illegible]~~ ekspensować co raz więcej swojej energii, stając się niesłychanie natarczywą i zawistną ~~[illegible]~~ [illegible] targu

3. Każda taka transakcja handlowa była jako prosta z jej strony szczęściem rozpaczliwych wysiłków.

Patrząc na nią w tych chwilach, można było mniemać, że sucha Żydówka podlega atakom ciężkiej histerji. Najjaskrawsze uniesienia na [illegible], podchlebstwem, na złamanie nóg i rąk, i zmieniające natychmiast ustawioną sympatję z jej [illegible] mowy z niepohamowaną gwałtownością; niezwykle [illegible] jak wariaty, hotely, jak w szale, oczy gorzały; zwłaszcza, gdy operacja została szczęśliwie załatwiona; sprzedana, zadyszana, wydając resztę zwolniała, i szybkiem [illegible] i postękując, jakby wyczerpana zupełnie, wlekła się z koszem dalej, by przy pierwszej sposobności podnieść się na nowo.

Wszystko to jednak pomagało niewiele. Ryfka tylko się rozdrażniała niepotrzebnie, i, jako natrętna, nieznośna [illegible] zaczynała tracić sympatję kundmanek.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, gdy naraz w Lipcu, w porze największego zjazdu letników spadły, jak z nieba, wielkie pieniądze na sprawy i w ręce głupiego Lejby.

Lejba znalazł pugilares, który wypadł turyście drapiącemu się na górę Zamkową; i w swej naiwności zapytany, czy nie widział zguby, oddał ją bez wahania, a uradowany i zdumiony tą uczciwością właściciel ofiarował mu w nagrodę 2 pięciorublówki.

Wieść o tym zdarzeniu rozniosła się w lot po miasteczku i złapała Ryfkę na targu. W pierwszej chwili ostatnie ona przekupka omal że nie wypuściła koszyka z jajkami, aż jej się słabo zrobiło. Potem nie chciała w nic wierzyć i dopiero, gdy jej przyprowadzono triumfalnie zastraszonego i zgłupiałego do reszty męża, jak pantera wydarła mu z rąk zdobycz i rozpłakała się ze szczęścia. Część pieniędzy obróciła na kupno kosza i towarów dla starszej córki, która miała obsługiwać letników na dole,

sobie zatrzymała resztę gór, a dla Lejby wydzierżawiła ów sadek pod krzyżem.

Był to interes ze wszech miar świetny. Z kilkunastu sztetyn można było się spodziewać do 20 pudów owocu, co przy najniższej cenie stanowiło zysk olbrzymi. Lekko schorzała gruszka i parę skarłowaciałych śliweczek, tak zwanych „kulek" mogło (wykwintne) zapewnić utrzymanie dla Lejby, który miał czuwać nad całością dobytku. ~~Jednym~~ Słowem, jedna z najbiedniejszych rodzin podupadłego miasteczka wyrosła raptem niemal na patrycjuszów, a dla głowy dostojnego rodu — Lejby został, niby złoty baldachim, wzniesiony na 4-ch ~~kijach~~ patykach słomiany daszek, trzeci mały szkaty, jako berło władzy wręczyła mu żona wraz z zaklęciami, by się ani na krok poza obręb wynajętej posiadłości nie wydalał.

Lejba uroczyście to obiecał, i on bowiem zaczynał już rozumieć, co za pomyślna zmiana zaszła w jego losie. Powoli pod wpływem słońca, świeżego powietrza i lepszego odżywiania się robaczywymi owocami, który niby manna sypał mu się pod nogi z każdym powiewem wiatru, budził się z apatji i coraz jaśniej pojmował doniosłość swojego stanowiska. Wreszcie ocknął w nim się na dobre stary ~~zabiegliwy~~ zapobiegliwy sadownik. Żona, która z początku dowiadywała się dość często, widząc jak Lejba skrzętnie gromadzi przed budką najdrobniejszy owoc, jak zbiera chrust w wiązki, w pęczki ściska, że ma nawet ukryte w słomie podniesione na drodze spore polano, że oblicza i to trafnie przypuszczalne dochody, zaczyna się zapalać do interesów i roić o przyszłych geszeftach — uradowana i rozrzewniona ofiarowała mu czystą bułkę i spokojna oddała się całkowicie swoim kombinacjom handlowym, by wyzyskać sezon w całej pełni.

5.

Tymczasem Lejba opędzał czas rozkosznie. W biały dzień, wiedząc że sam widok jego obecności wystarcza, wyciągał się na trawie i drzemał lub oddawał się marzeniom. Śniło mu się, że dzierżawi tak wielki ogród, że żona i wszystkie dzieci muszą mu pomagać... Pali się ognisko - więdną się śliwki na laskach - a zdrowy owoc jak złoto ładuje się na krypy... Płyną po falach lśniącej tam w dole Wisły het, aż pod most żelazny... Tłum ludzi na brzegu, krzyki, targi, brzęczenie pieniędzy... Gwizdanie parowca przerywało zwykle tę świętą senną[?] się kiedy przerażającym wspomnieniem o rozbitym przez statek galarze wraz z którym poszedł z wodą cały jego majątek... Lejba ~~wstrząsał się~~ wstrząśnięty budził się i ~~[illegible]~~ ścigał ~~[illegible]~~ przestraszonym spojrzeniem sunący horyzontem wężyk komina i czarnego dymu, jak banderę nieszczęścia, które minęło wszystko[?] [illegible] i chyba już nie wróci. w ~~tym~~ o zmniejszonym zakresie ~~[illegible]~~ przypuszczeń nadziei i rozważań obracały się leniwie senne jego myśli aż do zachodu słońca.

Pod wieczór obawa o całość sadu zaostrzała jego uwagę i stawał się czujny.

W jasne księżycowe noce był pewny swego dobra; na widnych szeroko polach, na białych błyszczących drogach nie spodziewał się ujrzeć rabusia. Za to silnie go trwożyły noce chmurne i ciemne. Wówczas w szeleście wiatru po gałęziach, w chrzęście oblumowanej blachy na krzyżu, w chwiejbie krzaków, przybierających dziwaczne zagadkowe kształty, widział obecność czyhającego na jego szkodę człowieka i niepokoił się tym tylko. Obchodził swój klinek, uderzał laską po pniach, chrząkał głośno by dać znać, że jest i czuwa. W przekonaniu, że w podmiejskich ogrodach napewno w tej porze kradną, cieszył się że jego posiadłość jest na pustkowiu w znacznej odległości od siedzib ludzkich.

7.

Podczas ulewy i burzy nie lękał się zbytnio, ale ~~[illegible]~~ nękał go wiatr. Skulony w swej budce nadsłuchiwał pilnie, a każdy łoskot opadającego jabłka odbijał się bolesnym echem w jego rozżalonym sercu. Ten stały stuk tłukącego się owocu był dlań daleko groźniejszy niż ogłuszający turkot grzmotów, pękanie gromów i zygzaki błyskawic rozdzierających piorunami niebo.

Po burzy zdarzało mu się nieraz widzieć tu i owdzie na tle ciemnego horyzontu gorejące wysoko łuny, i przyglądał im się z martwą obojętnością, choć wiedział że tę (czyjeś) pożera dobytek [illegible]. W obrębie jego wąskich uczuć poza najbliższymi reszta ludzi, a szczególniej „ci [illegible]" figurowali jedynie jako sprzedawcy lub nabywcy, poza interesem nie istnieli dlań zupełnie i mogliby mu się w oczach zapadać w ziemię, a on by nawet nie dostrzegł, do tego stopnia był mu tę (świat) zawsze zupełnie obcy, a dziś w pewnej mierze wrogi, że tej bowiem strony zagrażało jedynie niebezpieczeństwo jego drzewom.

– [illegible] go raz ~~[illegible]~~ dobrze oszukał – za to on jest sprytny i bogaty. Czasem handluje kradzionymi końmi – niech sobie handluje, to takie interes – ale po naszemu jabłko takie kawał drogi najgorszy Żyd nie połknie, bo on ma delikatne zdrowie i rozum. – A głupi chłop – co to jemu szkodzi, kiedy on ~~jest [illegible]~~ jest silny, jak koń i może nogami i rękami cały dzień machać, jak wiatrak – rozmyślał i burzył się ~~[illegible]~~, jak się [illegible] nie napróżno.

Bywały chłodnawe, [illegible], sierpniowe noce, tak widne, że Zybła mógł w ciemni liści podziwiać dorodność wypełniających się owoców. Były jeszcze zielone, ale za parę tygodni można już je było obrywać. Zybła myślał o tym dniu z najwyższą rozkoszą – [illegible] zdjęć i dzieci, by ~~[illegible]~~

ostrowie wszystko żytkami. Obrodziło niebardzo, nie więcej jak 15 do 18 pudów, ale cena za to naleciało się szczodrzewie wysokich po dwa ruble, a nawet i 95 złotych – i podniecony cytrami Łejba począł roić o projektach świetnej przyszłości.

Tymczasem z ruin zameczku stoczył się po zboczu jakby ścięty dury głaz, a podnóża wyciągnął się w kształt ludzkiej postaci i jasną drogą idącą wąwozem począł się piąć, ciężko dysząc i sapiąc.

Był to znany powszechnie niemowa, jedna z osobliwości obfitującego w różne zabytki miasteczka. Szczególny ten osobnik w zimie tylko prowadził tryb osiadły w chałupie brata, który zagarnął jego grunta, gdzie pod groźbą pięści wykonywał ~~najgorsze~~ najordynarniejsze roboty. Z wiosną rozpoczynał się dlań żywot pasterski – pędził po korabach bydło nawołując je i zbijając do kupy jakimś beczeniem podobnym do ryku cielęcia. W lecie jednak porzucił rodzinne pasterstwo i zmieniał się w wolnego koczownika. W dzień i wieczorami kręcił się koło domków letników, ~~którzy go podziwiali~~ podziwiających go, jako prawdziwe dziecko natury, rzadki okaz pierwotnego nietkniętego kulturą człowieka; chętnie wdawali się z nim w niemiczne rozmowy, ~~ko~~ częstowali papierosami, które ssał namiętnie. Wesołe służące, do których robił czułe małpie miny, kazały mu ciągnąć z głębokich studni wodę, rąbać drzewo i nosić owoce.

To też ~~wraz~~ niemy obierał sądy co się zowie. Przylepiony im gościom u cyrku przez wyższe siły zręcznie fungował z podaniem się odpowiedniej porcji kijów i naraziłby opowiadał ~~dziwnie~~ komicznie

9 wszystkim o swoich przygodach, ilustrując dosadnymi gestami proces bicia, przyczem śmiał się jakimś idjotycznym pełnym zadowolenia chichotem. O ile się spotkał z żydem w pojedynkę nie tchórzył, robił najstraszniejszą z swoich min i jak [illegible] z [illegible] łapanego kamieniem wydobywał z [illegible] odłamek szkła, którym groził prawie zawsze skutecznie. Żydów wogóle nie lubił i to wcale nie za te odebrane razy, ale tak poprostu, jakby nasiąknął niezrozumiałemi niechęci, krążącymi w jego otoczeniu. Na określenie tej rasy miał kilka stałych gestów: świderkowate ruchy palców koło skroni, mające wyobrazić pejsy, liczenie na dłoni pieniędzy i pokazywanie ~~[illegible]~~ [illegible], o co każdego żyda posądzał.

Kalectwo ~~pa~~ tego parjasa nie musiało być zupełne, miał on bowiem pewne pojęcie o dźwiękach i był zdolny do wydobywania z siebie niektórych głosów. Przy całym ~~jego~~ upośledzeniu umysłowym, niepodobna go było nazwać kompletnie głupim. Owszem posiadał pewną dozę sprytu i zmysł obserwacji, wyrażający się w ujmowaniu charakterystycznych cech rzeczy, które świetnie oddawał mimicznie. Jedynym słowem przy bliższym poznaniu zyskiwał. Ale na pierwszy rzut oka przez odrażającą płaskość twarzy, porosłej jakby szczeciną, głupkowaty uśmiech, nie schodzący z jego wywiniętych warg i ustawiczne sapanie sprawiał wrażenie potwornego kretyna. Przyczyniał się do tego niewątpliwie i strój, a raczej brak stroju, który dopiero kompletował się w ciągu lata z łaski letników w nader oryginalne kombinacje.

10

Obecnie niemy miał na sobie podarte kalesony, gorsową umiętą koszulę podpasaną szwarkiem, stary pozbawiony guzików surdut bez jednej poły, która została na kolcach tarniny i obszerny wyrudziały melonik, noszony z dumą i fantazją.

Tak wyelegantowany, otrzymawszy zamówienie od Pleśpięknej, nad którą widziski absolutnym niezważony braków powodzenia był bardzo wrażliwy, dążył śmiało do sadu „swojego".

Lejba utopiony w szczerenich nie słyszał stąpania bosych nóg, i dopiero szamotanie się gałęzi, które pracimy obdzierał wraz z liśćmi z owoców, wstrząsnęło nim do głębi.

Struchlał pozorny rabuś. Niemowa również się zdziwił i uważając go za współtowarzysza wyprawy, wskazywał mu żywo drugie drzewo, przyczem uśmiechnął się całą szczerością obmydlonej gęby.

- Ty złodziej, ty rozbójnik to mój sad! - zapominając o jego kalectwie, trząsł się z gniewu Lejba - a w końcu opamiętawszy się, pokazał mu kij i daszek.

Niemy zrozumiał - skrzywił twarz jak pysk buldoga, wyciągnął z zanadrza ostry kamień i bujając go w ręku, celował w głowę Lejby.

Buuch! - stęknął naśladując głosem uderzenie, a cały postacią ruch padającego martwo ciała, zaśmiał się parskającym chichotem i robił swoje.

Lejba wił się z żalu i bezsilnej wściekłości.

Idź - ty, idź - szlochał targając niemowę za poszarpany rękaw coraz śmielej i mocniej

~~ad~~ 11.

Niemy obychał pomachę i kieszenie, a mając już pełne, począł niesłowo zwijać ~~kręcić~~ koło skroni kosmyki włosów na podobieństwo pejsów i przygładzając brodę, naśladować i drażnić się z Żydem.

Wychciał odchodzić, Żyba ~~go~~ karczowo przytrzymał za połę. W istności mu drgnęły z rozdrażnienia, muskuły twarzy wzdrygnęły się, wyschło gardło. ~~Załamując ręce, jak w febrze ręce w ostatniej rozpaczy odwołując się do ... cudzego Boga, wskazał do błazeńsko wizerunek Chrystusa~~

Załamując jak w febrze rękami, odwołując się w ostatniej rozpaczy do filosofii cudzego Boga wskazał niemiemu ~~Chrystusowy~~ wizerunek Chrystusa.

Niemowa spoważniał, naśladował ręce przebite dłonie i szturchając palcem Żyda w piersi dał mu do zrozumienia, że to on właśnie jest sprawcą tej męki. Sokręcił zgorszony głową, zasapał z oburzenia i pokazując połę migając w kształt świńskiego ucha oddalił się, bełkocząc.

Żyd usunął się na trawę; czuł się jak stratowany kopytami dzikiego zwierzęcia.

Szkoda nie była zbyt wielka, ale desperacka myśl, że może się co noc powtarzać rozpuszczała po nerwach wszystkie drgawki polisci, rozsadzała mózg i szarpała serce. Żyd chwycił się za głowę wstawał i chodził w zakątki ~~zataczając się~~ między drzewami, miotał gniewne przekleństwa, wygrażał przestrzeni pięściami, padał na trawę i darł jak szponami chłodną ziemię.

Narajetnr, kompostując z drzewie, którą siedział nienawistny do ludzi z pola, pognał ~~pospieszył~~ do miasteczka, Ryfki nie zastał. Wyspowiadał się za wszystko karczmie. Kupił więc kilka papierosów, paczkę zapałek i wrócił bez tchu do pozostawionego sadku, cichy jak lis, przez psy osaczony +

na zgryzotę
kaszył się na cały dzień w ludzi.

Pod wieczór wypogodziło się. Szary całun, zasnuwający niebo zwijał się w obłoki, które płynąc to odsłaniały to zamykały fałdzistą kotarą owal księżyca oprawiony niby złoty witraż w błękitną kopułę olbrzymiej świątyni.

Wiatr uszedł górą, ziemię otulał spokój i uroczysta cisza.

W łagodnym rozlewie melancholijnego światła, widniały szeroko rozpostarte przestrzenie pól, srebrzące się tu i owdzie grzebieniami ściernisk, spadające skłonami w dół, niby lśniąca szarfa, biała droga, poszczerbione fantastycznie mury ruin i w matowym pancerzu uśpiona Wisła z przypartymi do brzegów płaskami tratw, na których płonęły milczące ogniska.

Z daleka, jak niepojęte stłumione rzewne i serdeczne nadlatywały tajemnicze szmery ~~nadlatywały stłumionym szelestem~~ ume-bujających zbóż, trwożne szepty liści usychających drzew.

Zachwycający był kraj, jak tęskny obraz wyjęty z marzeń, co śnią się wymarzonemu sercu w smutnej godzinie uwielbień nieoznanego Boga, w samotnym zamyśleniu, które jest Jemu modlitwą.

Ale na wieki wieków od wszelkiej rozkoszy wyklęty Żyd, całkowicie na pastwę nędzy wydany, w pięknie obojętny na te uroki wypatrywał tylko swej krzywdy czającej mu się w każdym cieniu w każdym szeleście cudownej nocy.

I krzywdy tu skradały się ku niemu równie niepostrzeżenie, ciemna ze szczęściem wyrwana.

13 Lejba ściskając kurczowo kij, z największą uwagą rozróżniał jak bełkające się tuchmany, które niby skrzydła nietoperze trzepotały się wokoło zbliżającej się postaci.

Żydowi zadrgała nerwowo wystająca grdyka, gardło skaleczyła ostra gorycz, przeszył go dziki dreszcz, wyskoczył z ukrycia i spotkał się z napastnikiem pod krzyżem.

Na dystansie paru kroków zatrzymali się obaj i fiksowali się wklęsłymi oczyma.

- Na! - syknął wreszcie Lejba, podając papieros.

Niemiec, zaskoczony po raz pierwszy dotknięciem ze strony żydowskiej, zdziwił się na razie, a potem łaszącym się ruchem podsunął zgiętymi w kolanach nogami i przysiadł obok łopaciny.

Lejba wyprostowany się na skraj urwiska podał osłoniętą dłonią ogarek. Niemiec zapalił, mlasnął i począł ssać dym.

Chmury otoczyły księżyc, zrobiło się na tyle ciemno, że Lejba widział tylko w żarzącym się ogniku wydęte wargi i koniec nosa swego wroga.

Objął go jakiś zabobonny lęk i niepokój. Zmienił ton mowy i jął, gestykulując szeroko, przekładać, że w sadach podmiejskich są znakomite owoce i tam je kraść właśnie należy.

Niemiec potakiwał, pokazywał na migi jak je obrywa, pożera, cmokał z lubością ustami, głaskał się po brzuchu, wtajemniczał Żyda w rozmaite sposoby podkradania podkopem, opowiadał, jak go bili sadownicy i zachichotał ostrym chichotem.

Zawiązała się dziwna, bez słów głucha przyjacielska prawie gawęda.

14

Doszli się tak bliżej, że, gdy mimo ochłonąwszy do niedostatku tytoni, splunął, wstał i podsunął się do sadku, a Lejba odruchowo zastąpił mu drogę, obaj zdumieli się na chwilę i oglądali na siebie z niedowierzaniem i jakby zawodem.

Struny, nastrojone tylko co harmonijnie, oporniej i z pewnym trudem napinały się, by wydać boleśny dysonans.

Niemowa, ociągając się, nachylając wydobył swój kamień.

Lejba niejako z obowiązku niechętnie podniósł kij i dopiero w ramach zyskującą w nim mściwą zawziętość. Mierzył w głowę, ale niezgrabnym uderzeniem trafił w rondo melonika i strącił go w wodę.

Niemy, któremu cały dzień był ten kapelusz zawsze z żalu; złapał oburącz drugi koniec patyka i pociągnął się niżej nad brzegiem urwiska.

Siły ich były jednakowo bezdarne i słabe. Drąg chodził niemrawo leniwie, niby tłok w parującej resztkami pary Tapsuskiej maszynie. Słychać było przyśpieszone sapanie niemego i świszczący oddech zapadłej piersi Żyda.

Niemowy szarpnął się gwałtownie, nieprzytomny z wściekłości, rozważniejszy, choć również drżący z rozdrażnienia, Lejba w odpowiedniej chwili puścił kij.

Niemowa się zatoczył, zatrzymał się o krzyż #, i rzucili się na siebie z gołemi rękami:

Poczęli się mocować śmiertelnie dwie bezsilne, niedołężne, dwie nędze kalekie

Chwilami wydawało się że to są pasma pajęczy wywleczone z mogił rozkładające się trupy, że się oplatają wstrętne kołtuny zbutwiałych całunów, chrapią i rzężą dziurawe zropiałe płuca, bełkocą pożarte ostrzępy języków, chrzęszczące próchno kości, miotają się zgniłe szmaty łachmanów.

W furji potwornej walki, rozpierzchły się wszystkie płomienne urazy, poruszył się zatruty osad niezłotnych pożądań i jak zjadliwe robactwo rozpłynął się w nienawiści.

Niemowa starał się wydrzeć pejsy powszywanemu żydowi, „żeby zdusić zawsze obcego, a teraz przeklętego goja."

Co moment pośliznął się to jeden to drugi i chwytając się się krzyża odzyskiwał równowagę.

Raptem urwała się pod nimi ziemia, zawiśli na chwilę obaj trzymając się zbawczego słupa, gdy nagle wychybotany w bójce krzyż się wyważył i zwalił się całym ciężarem. Koziołkując runęli, zadudniały kamienie, stęknęła ziemia, potoczyły się i nieruchomo legły dwa ciała bezkształtne i szare, jak głazy.

Krzyż sunął się po zboczu z wszystkim szelestem sypiącego się żwiru, aż się zatrzymał na jakimś występie, pękł w górze z głuchym trzaskiem, i wierzchołek z łoskotem zleciał na dno...

Przypatrywano się w ostatnie zabytki z dnia na dzień podupadającemu miasteczku przybyła nowa osobliwość!

Dziwnie przełamany krzyż nad stromym urwiskiem. Ustawiony na nowo bez blachy Chrystusa, który się gdzieś zapodział, i górnej części wyglądał jak wielka dwuramienna szubienica.

16. Patrząc na te rozpięte na pustkowiu czarne złowrogie belki niepodobna się było oprzeć wrażeniu, że jest to jakiś fatalny znak groźby lub przestrogi. Nijeden przechodzień nad nim się zastanawiał, a ktoś nieznany, o którym widocznie do[illegible] ogólnie zakołatał go nawet napis:

...Wyniszczonych, niedołężnych, pozbawionych głosu, przez los obdartych z godności wynik dziejów sprowadził nad straszne urwisko. Grunt się osuwa pod nogami; oparcie stóp przeszłość chłonie — a oni zamiast wzmocnić się i zabezpieczyć i w pojednaniu spożywać wspólnie dojrzały owoc z drzew dziejowych — w szale walki i zaślepieniu nienawiści wyrywają ostatnią podporę: święty symbol miłości, przeobrażając go w godło obustronnej kaźni, którą nieświadomi toczą się w przepaść, na wieczną zgubę...

Słowa te szybko zostały zatarte, i dzisiaj tylko wiatry jesienne ciągnąc nad tą bolesną szczytową ziemią wygrywają czasem na wszystkich starożytnego samotnie przebrzmiałą melodię tak żałosną i smutną, jakoby chorał w którym płonie pożoga, nasiąknięta dymem i krwawą krwi. Głos bije, wznosi się i błaga Boga, by kazało wystąpić ręce — nie więcej bez win... Rozgrzane niebo milczy, a ludzie, odurzeni zgiełkiem pozornych życia, tonów hymnu nie słyszą. Komu więc go wiatr śpiewa? Któż zrozumie!

S. Dunikowska